NUMER 42. DNIA 19-go PAŹDZIERNIKA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Na zgon Kościuszki.

Pietnastego października upłynęło ośmdziesiąt i pięć lat od chwili, kiedy w Solurze, w Szwajcarji, zdala od kraju, dla którego wolności niósł życie w ofierze, zmarł Naczelnik, Tadeusz



KOPIEC KOŚCIUSZKI.
(Ze starej ryciny.)

Kościuszko. Skoro tylko wieść o tem dobiegła do Ojczyzny, jedna myśl, jedno pragnienie wstrząsnęło dusze rodaków: sprowadzić zwłoki największego bohatera narodowego do kraju, żeby spoczął na sen wieczny wśród swoich, dla których grób jego będzie po wszystkie lata pomnikiem i ołtarzem wolności.

W rok potem już pragnienie zamieniło się w czyn. Dnia 3-go lipca 1818 roku dzwony świątyń krakowskich powitały swym jękiem wracające do kraju zwłoki naczelnika.

Wracał do miasta, gdzie składał przysięgę narodowi, że bronić będzie jego wolności —

wracał martwem ciałem tam, skąd wyprowadzał zbrojne zastępy na racławickie pola...

Nieprzeliczone tłumy postępowały za drogą trumną wodza, którą złożono w grobach królewskich na Wawelu, obok zwłok Jana Sobieskiego. Ale naród polski sądził w sercu swojem, że przeznaczając Kościuszce miejsce spoczynku, obok królów, nie wypowiedział całej miłości swojej i uwielbienia dla niego. Zapragnął więc uczcić go w inny jeszcze sposób: zapragnął usypać mu własnemi rękami mogiłę z ziemi ojczystej, której bohater bronił przed wrogami, dla której przelewał krew... Mogiłę ową, nazwaną potem, ze względu na kształt, kopcem, poczęto sypać z wielką uroczystością dnia 16. października 1820 roku na górze Bronisławy, wznoszącej się na zachód od Krakowa, sto metrów ponad zwierciadłem wód Wisły.

W środku podstawy kopca złożono ziemię z pod Racławic, a gdy dosięgnął 15 metrów wysokości, ziemię z pod Maciejowic. Później dosypano jej z pod Dubienki i Szczekocin.

Sypanie trwało lat trzy. Dnia 25. października 1823 roku stanął pomnik bohatera w całej swej okazałości.

Ma on kształt olbrzymiego ściętego ostrokręgu, o średnicy w podstawie 80, u góry 8½ metra. Wysoki 34 metrów, obejmuje 64 tysięcy metrów sześciennych, a po darniowych stokach jego, mających przeszło 50 stopni pochylenia, prowadzi na szczyt ścieżka, wijąca się w kształcie podwójnego ślimaka.

Nieprędko po usypaniu, bo dopiero d. 16. czerwca 1860 r., złożono na szczycie kopca bryłę karpackiego granitu z napisem „Kościuszce".

Początkowo stał kopiec swobodnie na szczycie góry, okolony wieńcem drzew, mając za jedyne sąsiedztwo kościółek św. Bronisławy. Dopiero gdy w r. 1846 Austrja Kraków zabrała i poczęła go fortyfikować, otoczono pomnik polskiego bohatera murami austrjackiego fortu. Stracił przez to niemało na okazałości — lecz i tak, chociaż ścieśniony czerwonym pierścieniem murów fortecznych, wznosi się dumnie z ponad nich, panując nad Krakowem i całą okolicą podwawelskiego grodu, przypominając chwałę Kościuszki, świadcząc o tem, że tu spoczywa ktoś, komu cały naród jednomyślnie pragnął wdzięczność swoją okazać.



Współczesne prądy umysłowe i polityczne.

(LUDWIK KULCZYCKI: „Szkice". Serja I.: Walka z pozytywizmem. — Współczesny ruch etyczny w Polsce. — Idea Polska Szczepanowskiego. — Poglądy Lutosławskiego. — Patrjotyzm a nacjonalizm. — Egoizm narodowy. — Demokratyzm. — Antysemityzm. — Jacy jesteśmy? — Kraków. Nakładem autora. 1903.)

Chwila obecna jest dla ogółu polskiego chwilą krytyczną, przełomową. Inaczej trudno by sobie wytłumaczyć ten powszechny zamęt pojęć i dążeń, ogarniający coraz szersze koła. Prawdziwe też uznanie należy się tym, którzy pragną rozjaśnić tonący w mgle niejasnych przeczuć i nieokreślonych pragnień horyzont narodowego życia. A wielu jest potrzebujących wskazań, którędy kroczyć trzeba. Wielu jest, którzy zszedłszy z ubitej drogi, grzęzną w mokrzawicach myśli, uważając każdy błędny ognik za gwiazdę przewodnią.

Sądzę, że się nie mylę, przypisując książce p. Kulczyckiego tendencję ratowania w dziedzinie myśli takich słabych, niepewnych i niesamodzielnych — którym brak „granitowych podstaw“ dla „tęczowych marzeń“.

Ale przejdźmy do treści szkiców.

„Walką z pozytywizmem“ nazwał autor zjawiającą się reakcję przeciw racjonalnemu ocenianiu zjawisk społecznych, przeciw przykładaniu do wszystkich objawów narodowego i kulturalnego życia, miarki użyteczności społecznej.

Sądzę, że zbyteczną rzeczą byłoby dowodzić potrzeby dla każdego narodu a specjalnie dla naszego podniet, dążności i celów natury idealnej. Gdybyśmy na raz je utracili — odrzucilibyśmy dobrowolnie połowę tej energji i tężyzny, która nas podtrzymuje w walce z otoczeniem, niosącem nam zagładę. To też nie sam zwrot obecny do idealizmu jest złym — ale droga i taktyka jego. Nawołując do idealizmu, nasi najświeżsi neo-idealiści popełniają błąd, wskazując na kierunek pozytywistyczny — jako na źródło odwrócenia się społeczeństwa od wyższych ideałów. Przeciw temu ostro występuje autor. Podając krótką genezę zjawienia się w Polsce kierunku pozytywistycznego w siedmdziesięcioleciu, wskazuje na doniosłe korzyści, jakie umysłowość nasza mu zawdzięcza. Właściwie pozytywizm stworzył współczesną naukę polską, współczesnych badaczy i specjalistów a nawet wpływ jego sięgał w dziedzinę publicystyki (Świętochowski) i belletrystyki. Zapłodnił on myśl polską nowemi pierwiastkami — dał jej to, na czem jej zawsze zbywało, ścisłość metody w badaniu. Ale nie tu koniec dodatnich skutków panowania pozytywizmu. W dziedzinie społecznej i obyczajowo-etycznej przeprowadził, można powiedzieć, gruntowną reformę. Pod jego tchnieniem znikła w znacznej części mgła przestarzałych, kastowych pojęć i poglądów, niejeden przesąd, przeżytek społeczny i religijny, runął pod siłą jego argumentacji. Pozytywizm u nas to wyzwolenie ogółu inteligentnego z pod wszechwładzy klerykalizmu i tradycji wszechwładzy szlacheckiej — to zdemokratyzowanie się społeczeństwa. Jeżeli w tem znaczeniu nasi neoidealiści zarzucają pozytywizmowi zepchnięcie idealnych dążności z naszego życia, to biadania ich są tylko śmieszne.

Ducha prawdziwego idealizmu — tego, który każe jednostce oddawać życie dla idei, pozytywizm nie obalił. Niech się ci nasi wysubtelnieni mistycy — te egzotyczne rośliny — wyrosłe na gruncie samotnych rozmyślań zdala od cierpień narodu — przyjrzą historji rewolucyjnej pracy w zaborze rosyjskim, począwszy od siódmego dziesiątka lat. W szeregach walczących o wolność kraju i ludu naszego znajdą setki katorżników i dziesiątki powieszonych, socjalistów i patrjotów, którzy byli pozytywistami.

Za głównych koryfeuszów współczesnego „neomesjanizmu“ uważa autor Stanisława Szczepanowskiego i Wincentego Lutosławskiego. Dwa osobne szkice poświęca też ocenie poglądów i działalności tych ludzi. Zwłaszcza teorje Lutosławskiego poddane są surowej krytyce. Autor „Szkiców“ wychodzi z założenia, że tylko ulepszanie instytucji społecznych może przynieść podniesienie ogólne poziomu etycznego w społeczeństwie. Praca mająca na celu wewnętrzne doskonalenie się jednostki, całych grup, wreszcie społeczeństwa w ogóle — jeżeli chce widzieć realne skutki, opierać się musi na realnych podstawach działalności społecznej. Wskazywanie na niedościgniony, a więc abstrakcyjny ideał udoskonalenia się jednostki zdala od życia i jego celów, jest szkodliwem odrywaniem natur wrażliwych na wszelką niedolę od pracy czynnej na niwie narodowej i społecznej. Bierna kontemplacja w samotności może nam dać wielkich ascetów — nie da ludzi czynu, tem mniej bohaterów. Zresztą współczesne, bardzo skomplikowane życie uniemożliwia podciąganie wszystkich pod jedne i te same normy etyczne. Słusznie powiada autor: „Dzisiaj nie wszyscy mogą, nie wszyscy chcą się doskonalić.“

Podobnie bezkrytycznie nie należy przyjmować t. zw. „etyki narodowej“, którą propaguje p. Balicki w swoim „Egoizmie narodowym“. Godzimy się wszyscy na to, że dzisiaj wobec gwałtowniejszego, niż kiedykolwiek, naporu wrogich nam żywiołów koniecznem jest skoncentrowanie sił narodowych i umiejętne ich przeciwstawienie atakom z zewnątrz. Lecz zarówno czynna obrona narodowa, jak środki wzmacniające ją, nie mogą przynieść szkody nam samym. Nie można więc dążenia do polepszenia form społecznych naszego życia, objawiającego się czy to w formie walk klasowych, czy wypływającej z nich

solidarności międzynarodowej proletarjatu — uważać za zdradę narodową — mienić je „duchowym rozbiorem kraju“. Podobny zarzut, ale daleko bardziej uzasadniony należałoby zwrócić do sfery naszej arystokracji i burżuazji, które łącząc się z ciemiężycielami kraju, istotnie dokonują „duchowego rozbioru“. O tem wszakże autor „Egoizmu narodowego“ nie wspomina.

W szkicach, zatytułowanych: „Patrjotyzm a nacjonalizm i demokratyzm“, autor udowadnia, że patrjotyzm, pojęty w ten sposób, jak pewna część inteligencji polskiej dzisiaj go pojmuje, odbiega znacznie od dawnego, rewolucyjnego patrjotyzmu, opierającego się o szerokie podstawy demokratyczne. Przyczyny tego spaczenia autor widzi głównie w zaniku uczuć i temperamentów rewolucyjnych u tych ludzi, którzy po r. 1863 rozpoczęli na nowo pracę nielegalną. Wzrastając w atmosferze pracy organicznej, bezwiednie ulegać musieli jej wpływom, wzbudzającym niewiarę w skuteczność wszelkiego działania rewolucyjnego. Po za tem ogólny nastrój w społeczeństwie polskiem, zdaje się skłaniać — za przykładem zachodniej Europy — raczej ku pokojowej walce kulturalnej, a nie wysiłkom rewolucyjnym, wymagającym wielkich ofiar i wielkiego natężenia ducha. Znaczną szczerbę zrobiło tu także chwilowe obałamucenie opinji mrzonkami ugody.

Zamykając szereg szkiców, autor w ostatnim z nich, p. t.: „Jacy jesteśmy?“, daje krótką charakterystykę umysłowości polskiej. Krytyka wypada dla nas niepochlebnie. Lekkomyślność charakterów, powierzchowność w przyjmowaniu i badaniu faktów, brak wytrwałości i t. p., wszystko to są cechy spotykane u nas częściej, jak u innych narodów. Wina jednak nie we wszystkiem na nas cięży. Weźmy choćby naszą naukę. W znacznej mierze ilościowe i jakościowe braki wywołane są wrogiemi nam siłami zewnętrznemi. Że w Polsce niema mowy o wyjałowieniu umysłowem, świadczy fakt, że w literaturze, sztuce i t. p., widzimy niezaprzeczenie bujny rozkwit. Głównym hamulcem rozwoju jest system oświaty, mającej na celu raczej powstrzymywanie, jak postęp nauki polskiej. Działalność i skład Komisji edukacyjnej, później uniwersytetu w Wilnie, dorównywały a nawet przewyższały współczesne podobne instytucje za granicą. A kiedy w Warszawie otworzono Szkołę Główną, uwzględniając bądź co bądź jej charakter polski, zaczęła ona wytwarzać znowu ludzi nauki, którzy odegrali wybitne role. Potem, jeżeli w nauce zajaśniały imiona polskie — to wyszły one z wolnych uniwersytetów za granicą. Tem gorsze skutki tego stanu, że wrogi potrzebom ducha narodowego system oświaty, dotyka najrdzenniejszych ziem dawnej Polski, o bogatych tradycjach cywilizacyjnych.

Książka p. Kulczyckiego zasługuje, aby ją czytał jak najszerszy ogół. Nie jedno w niej słowo może niemile dotknąć, tem więcej, że przesadna miłość własna z dobrem pojęciem o sobie szczególnie nas umiłowały. Sądzę jednak, że tak pisać mogą ci tylko, którzy wiele cierpią nad dolą swego narodu.

Stefan Odrzywolski.

LITERY.

Chodziliśmy razem do szkoły.

I razem plany życia rysowali.

Dziwne to były mapy naszych dróg projektowanych, naszych obszarów pod zasiew pożądanych, naszych karczowisk obmyślanych, które miały wykorzeniać w głąb daleki wszystko zło, a dawać w zamian dobro...

Do niego, pisano czasem ze wsi dalekiej, z jego chaty ubożuchnej, gdzie tylko brat młodszy umiał jako tako, choć z błędami największemi nakreślić kilkanaście liter, aby z nich złożyć list, zawsze zaczynający się od tych słów: — Pozdrawiam ciebie, ja, Agnieszka Wilkowa, matka twoja wraz z Ewą, Marylką i Kazią, siostrami, Józkiem i Tomaszem, braćmi, stryjną i Jakóbem wujkiem, a donosimy co cała familja zdrowa i o twojem powodzeniu się dowiadujemy.

Potem następowały wieści mniej więcej takie: — spaliła się chata sąsiada, krowa miała cieliczkę, ziemniaki na garbku wyschły, Antek się żeni, Franek z wojska wrócił.

A na końcu zwykle prośba gorąca „o odpis“ i doniesienie, czy zdrów i jak mu idzie z nauką.

Po każdym takim liście zbliżaliśmy się więcej ku sobie i węzły przyjaźni naszej zacieśniały się. Bo on, wzruszony, rozmarzony, nawet trochę roztęskniony do tej wioski swej dalekiej i do tej familji, która go pozdrawiała — opowiadać poczynał z młodszych swych lat rozmaite przygody, bole i marzenia, a ja, poznając tę chłopską duszę, kochałem ją coraz serdeczniej i szanowałem coraz poważniej...

I snuliśmy razem plany życia...

Dokądże to my nie dojdziemy i czego nie zrobimy?...

On — jako Wilk, syn wdowy chłopki, bliski tej całej „familji“, która go zawsze pozdrawia, wróci do nich po ukończeniu szkół. Zrzuci mundurek i znów wdzieje tę płótniankę szarą i grubą jak dola ich, on z niemi i dla nich pracować będzie, on od liter zacznie oświatę, a potem pójdzie dalej i dalej...

— Bo widzisz, kolego, — mówił nieraz do mnie — litery, to skarby... Przyznaj sam, czyż nie dają one tysiąców i milionów w swoich kombinacjach? Przemieniaj je, przestawiaj, składaj, łącz, a będą ci z nich piosnki sieroce, będą straszne wspomnienia o dniach męczeństw, będą złote marzenia młodości — będą cichych pacierzów szepty — będą jak światy wiedzy, nauki i prawdy... Skarby! A u nas, po wsiach liter nie znają!... Oj kolego! nie wiesz ty, jak serce się kraje temu, kto widzi 1000 ludzi nie umiejących czytać.

Zdaje ci się, że ukarani są srogo, ale nie wiesz, za co! Zdaje ci się, że odepchnięto ich od skarbów zdroju, a znów nie wiesz za co... Gdybym mógł — na wszystkich rozstajach dróg, na wszystkich wrotach do chat, na każdym progu chaty stawiałbym ludzi z elementarzami w ręku i prosił ich, uczcie poznawać litery! uczcie poznawać litery!...

— Bo widzisz, kolego — mówił znów niejeden raz — wiązanie i łączenie liter, stwarza rozmaite pojęcia... trzeba i to uczyć ludzi naszych, aby rozumieli wartość wyrazów, które z liter składane, nieraz prawie tych samych, mają przecie odmienne znaczenie.

Litera tu i litera tam, a jakże inaczej mówi ta litera tu, a jak inaczej tam. Weźmy te słowa: lud i lód... nieprawdaż co za przepaść między niemi? Lud, to znaczy ogień, siła, praca i życie..., a lód — to śmierć, zimno, martwota i nicość, którą tchnienie ciepła niweczy. Tak samo i w nazwiskach co mają znaczyć litery? Nic! Bo że ja się nazywam Wilk, tamten Duda, a ów Dobrzański lub Wodzicki, cóż to znaczy? Nie dają kombinacje tych liter wplecione w nazwisko jednostki żadnej rękojmi o moralnej wartości osoby... Ale to tak u was, w klasie „wyższej“, sortują ludzi na nazwiska, u nas, na wsi, tego niema. Wasze nazwiska staro-szlacheckie stanowią szczeble w drabince warstw i przywilejów — u was dwa o i jedno i splątane z spółgłoskami

kilkoma, oznacza człowieka lepszego", a u nas po chłopsku — Wilk, Baran, Sroka.

Przyznawałem mu zupełną słuszność i godziłem się na te zapatrywania, a jednak nie jeden raz pytałem się w duchu, czy on swego „Wilka" nie zmieni jeszcze kiedy, gdy więcej w życie wejdzie i będą mu częściej tym słowem w oczy rzucali.

Raz nawet, gdy począł marzyć o nauczycielstwie, spytałem go.

— A nie wiesz jak to w naszej klasie przezywają jeszcze do dziś starego „Kosza" i jego nazwiskiem bawią się złośliwie, czyżbyś jako nauczyciel nie zmienił „Wilka" na Wilczyńskiego?

Spojrzał na mnie z ogromnem zdziwieniem.

— Jakto? I ty jeszcze możesz o to pytać?... Myślałem, że lepiej już znasz moją duszę. Nietylko, gdybym był nauczycielem, ale ministrem, czy królem, czy prezydentem rzeczypospolitej, nie zmieniłbym nazwiska mego. Ludowe jest ono, z najuboższej chaty wyniesione, znać w niem jakiegoś protoplastę dzikiego, może dobrze na łowach „panu" się wysługującemu, ale ono mi droższe nad piękniej brzmiące, bo to moje, jedynie moje...

Poczciwy Wilk.

Dziś jeszcze, gdy wspomnę owe czasy, gdyśmy razem mieszkali, do szkoły chodzili, za lekcjami uganiali i plany życia rysowali, staje mi on w pamięci pełen niewypowiedzianego uroku i sympatji... Zawsze pogodny, serdeczny, przyjacielski i każdem słowem, zdaniem, rozmową do ludu wiodący i o pracy nad ludem marzący.

Po maturze — rozeszliśmy się. Ja uczęszczałem na uniwersytet, on wyjechał do wsi.

W rok potem przeniósł się na technikę, bo musiał szukać pracy, gdyż we wsi dla niego miejsca brakło. Na tej odrobinie ziemi, która im po ojcu została, nie było co robić. Bratu by chleb odbierał i siostry krzywdził, gdyby chciał wziąć bodaj jeden zagon dla siebie.

O posadzie nauczyciela w tej wiosce, nie było co myśleć, by szkoła jeszcze niezorganizowana, a lud rekursa za rekursami wnosił, gdy mu kazano do sprawy szkolnej wrócić.

Więc Wilk mi pisał:

— Chodzę na technikę, nic to nie szkodzi, od ludu przez to się nie oddalę i od liter nie odstąpię. Cóż myślisz kolego? Inżynier... ile może zdziałać!... Gdy będę miał robotników przy sobie, gdy będę pracować po wsiach, przy regulacji lub budowie kolei, czyż nie będę miał ludu?... A litery moje?... Będą podawane, o! będą podawane tylko już nie tak jak w szkółce, na tablicy, gdzie się pisze — a — b — c... ale w kombinacjach... rozumiesz?... W naszych broszurach, książkach, odczytach, pogadankach oświaty, nie damże im liter?.. Ty będziesz pisał, a ja rozdawał, tylko o to idzie, kto będzie drukować?.. Czyli kto da nakład na wydawanie książek dla ludu?... Jest to ciekawe, iż ile razy przyjdę z prośbą o datek na „szkołę ludową" lub na wydawnictwa tanie do ludzi tych, którzy się szczycą kombinacją liter w swoim nazwisku bardzo wyniosłą, czyli do tych, których nazwiska stawią na wyższych szczeblach od szczebli Wilków, Baranów i Dudków, ci bardzo rzadko kiedy chcą wesprzeć podobne cele. Nawet niektórzy wprost powiadają, iż oświaty dla ludu nie trzeba... Sami wzięli i biorą ciągle ze skarbów liter, a drugim nic nie chcą dać... Lecz my damy i poniesiemy litery — prawda?

Marzenia nasze snuły się znów wspólnie, choć już tylko listownie.

Przed samym ukończeniem techniki zaprosił mnie Wilk na wesele swej siostry.

Jakże pięknie bawiliśmy się w tej ubogiej chacie i jakże tam na nas, na „panów z miasta", patrzono ciekawie. Każde słowo nasze chwytano w lot i podawano dalej. Przy końcu wesela, gdyśmy siedzieli wielką gromadą za stołem, ozwał się któryś z sąsiadów:

— A kiedyż ty Wilku przepiszesz się?

— Jakto?... Co to znaczy?...

— Jużci Wilkiem między panami nie będziesz, co innego na wsi, to lżej, ale w mieście będą się natrząsali...

— A wy moja matko przepiszecie się? pyta Wilk matuchny, co przy piecu z dużego garnka kapustę nabiera...

— Jużci!.. Nie przepiszę ja się, bom Wilkowi przy ołtarzu przysięgała i wam Wilkom życie dałam, tak ino mię ksiądz wypisze, kiedy umrę, ale wypisze i pochowa Wilkową.

— A wy bracia przepiszecie się kiedy?...

Józek z Tomaszem śmieją się na cały głos...

— Niby to my uczeni? Abo nam co znaczy, że my Wilki, aby Boga nie obrazić, a kawałek chleba mieć, naj tam...

Wtedy Wilk rzecze:

— Tak i ja się nie przepiszę. Nie wstyd mi między ludźmi, że Wilkiem się piszę, a byłoby wstyd, gdybym żył jako wilk... I jakże wybyście mnie matko do serca przycisnęli, gdybym przed wami stanął i powiedział, nazywam się: — Krośnieński. A ty matko powiesz: — Nie znam takiego, chowałam w swojej biednej chacie Wilka, uczyłam Wilka pacierza, koszulinym mu szyła i pierała, poczciwości nauczała... to i takiego mam za syna, a pana Krośnieńskiego nie znam... Tak i wy siostry i wy bracia rzeklibyście: — Nasz on? nie nasz... bo my idziemy po ojcu i matce, a on poszedł za jakowymś pisaniem, co u nas go we wsi niema...

— A nie przepisał się z Brzezia Miech, co natareuszem jest, na Mieculawskiego? A nie przepisał się ksiądz z Olszyny na Górskiego, kiedy był Kamień? Już tak bywa, jak z chaty idzie do pańskiego życia to i inne odzienie bierze i inne pisanie.

— Ale ja tak nie zrobię, ja zawsze będę wasz i zawsze zostanę Wilkiem, co to choć ma nazwisko złe, ale serce dobre, a żeby mi złote góry dawali, nazwiska swego nie przepiszę.

— Nie przepisze! cichem echem powtórzyli stryj, wuj, „krzesny ociec“, bracia i sąsiedzi.

W cztery lata potem otrzymałem zaproszenie na ślub Ignacego Wielickiego z panną Głazińską...

Nie wiedziałem, kto mię zaprasza, myślałem, że jakaś omyłka, dopiero, gdym przeczytał dokładniej kartę zaproszenia, zrozumiałem iż on...

— A!.. więc przepisał się, mówię z gniewem, więc już i u niego burzy się gmach z planów młodości zbudowany... więc litery zmienione posuną go o jakie dwa, trzy szczeble wyżej... zaparł się nazwiska matki, braci, przepisał się jak inni, jak wielu...

Napiłem się gorzkiej wody rozczarowania, czułem do niego żal wielki i zamiast pojechać na wesele, wybrałem się do jego wioski, do jego chaty...

Poznali mię tam. Powitali jak umieli najserdeczniej. Starsza siostra wydana przyszła z drugiej chaty, matka starowina zgarbiła się trochę.

— A wy nie na weselu Ignaca? pytam po chwili.

— Jużci nie!.. Prosili pięknie, ale gdzie nam do pańskiego wesela... droga daleka.

— Będzie mu smutno bez was, pomyśli iż gniewacie się o co na niego — że go za syna nie chcecie mieć...

— Czemużby tak myślał, czyż to on się „przepisał“ czy co?...

Przysłał tu niby jakoweś pismo drukowane co do wesela, ale my nie czytali, bo nie umiejący liter poznawać, a Tomasz we wojsku, co znał litery.

Pokazuje mi poczciwa kobiecina zaproszenie, a potem opowiada o płaczu kumy Miech, której syn się przepisał.

Pierwszy raz — ucieszyłem się tem, iż są ludzie, którzy liter nie znają... a z kolegą Wilkiem już się nie zdybałem.

Czy od czasu jak sobie do Wilka dobrał 7 liter więcej niósł jakie litery dla ludu — nie wiem... ale to wiem, iż poszedł innym gościńcem, jak ten, cośmy rysowali w naszych planach i już nie spotkaliśmy się!...

Jan Świerk.



EMMA JELEŃSKA

15)

Z MIŁOŚCI.

Nie — przesadzam. Kobieta, która jest matką, może czuć się szczęśliwą. Nadzieje, przez małżeństwo zgaszone, macierzyństwo wznieca na nowo. A i małżeństwo, dziećmi ubłogosławione, inne jest...

Ja mówię o tych bezcelowych związkach,

gdzie to dwoje ludzi, pociągniętych ku sobie z początku siłą miłości, nadal pozostają przy sobie siłą przyzwyczajenia.

Ja mówię szczególniej o sobie i o Karolu. Stanowimy dotąd, w mniemaniu ludzi, wzorowe małżeństwo. Nigdy żadnej sprzeczki, nigdy najmniejszej skargi, zgodność kompletna. On — pracowity, społeczny, zdolny, wierny, pełen troskliwości o mój dobrobyt. Ja, cicha, uległa, zgadzająca się na wszystko, dobra gospodyni, dbała o jego wygody. Żadna plotka nas niedosięgła, żadnego powodu nie daliśmy do złośliwych żartów, żadnego nawet tematu do rozmowy. On — ideałem męża. Ja — ideałem żony. Potwierdzenie aksjomatu, iż małżeństwa z miłości są jedynie szczęśliwe.

Więcej nawet. Nie pomylę się, twierdząc, że sam Karol uważa nasze małżeństwo za zupełnie zadawalniające. Były dawniej może przebłyski wątpliwości. Ale to krótko trwało.

On, żeniąc się, nie bawił się w marzenia o wędrówce we dwoje po zaświatowych krainach. Ani mu to w głowie było! Podobałam mu się — i mnie wziął. No, i ma mnie. Ot, i wszystko.

Nie chodziło mu nigdy o moją duszę i o tym podobne dodatki. Chodziło mu o tę obecność przy sobie żywej istoty, o ten jakiś wdzięk, który nadaje domowi niewieścia ręka, o to uporządkowanie sobie życia — i to wszystko ma. Wątpliwości zaś, jeśli jakie były w początkach, gdy ja się narzucałam ze swą duszą i w jego duszę zaglądać chciałam, prędko minęły — bo ja się prędko nauczyłam być „na swojem miejscu“ i tego miejsca teraz pilnuję się święcie.

Zdaje mi się więc, że on jest zadowolony. Sam zaś jest zawsze i nieodmiennie „najlepszym mężem“. Naturalnie, że z biegiem lat pierwotne zapały trochę ostygły i „posiada mnie w spokoju“ jak mówi Julka. Ale ja się na to nie skarżę. O nie! o nie!

A ja? Ja w oczach świata jestem „sympatyczną panią Karolową“. Taką sobie miłą, uprzejmą, nic nie znaczącą dameczką, która nazwisko mężowskie nosi przyzwoicie, dom jego utrzymuje we wzorowym porządku, jest mu wierną żoną i wcale ładnym sprzętem w mieszkaniu, i z którą przyjemnie wyjść na ulicę, gdyż jej śliczna figura i dystyngowany wygląd stanowią wcale pokaźny szyld. Zresztą, nigdy już nie zabierającą głosu w rzeczach ważnych, nigdy nie narzucającą swej woli, gotową na wszelkie rozkazy.

Tak jest w oczach świata. To też posiadam ogólne uznanie i przez mężów bywam żonom stawiana jako wzór do naśladowania. Szczególniej przed kilku laty pozyskałam sobie dobrą markę u przyjaciół mojego męża.

Była to chwila ciężka dla Karola pod względem finansowym. Wdał się w jakąś budowlaną spekulację, w którą wsadził cały, czy prawie cały, mój posag, a która miała być świetnym interesem. Tymczasem wyrachowania zawiodły, inne jeszcze przyszły straty, i nadeszła ciężka chwila. Domyślam się czegoś, ale dokładnie dowiedziałam się o tem od Rucza, który, nie przypuszczając, że ja mogę nie wiedzieć od męża, wygadał się najniewinniej w świecie.

Karol mi o tem nic nie powiedział. Czy to przez miłość? czy przez lekceważenie — tak, jak się dzieciom o takich rzeczach nie mówi? — nie wiem. Chociaż się męczył i gryzł, chociaż prosiłam go o zaufanie, i mógł się domyśleć, że brak tegoż więcej mnie boli od wszelkich strat pieniężnych, ani razu nie poszukał we mnie pociechy. Owszem, udawał swobodną myśl, a raz zapytany — kłamał. I przyznaję, że moje prawdziwe, głębokie zniechęcenie do niego od tej chwili powstało. Żałowałam go — ale uczułam się tak obrażona!

Nigdy tego dnia nie zapomnę. Na nieszczęście, było u nas wieczorem zebranie, urządzone przezemnie, zanim się dowiedziałam o stanie interesów — i naturalnie, że miałam dużo tupaniny i krzątania się. A potem, musiałam się do ludzi uśmiechać, bawić, częstować, myśleć o kolacji, o ożywieniu rozmowy, a wewnątrz mnie wszystko się burzyło. Dzikie pomysły przychodziły mi do głowy.

„Tak, jeśli mnie traktujesz jak dziecko, jak lalkę, to ja tak też i postępować będę, niby o niczem nie wiedząc, stroić się będę, bawić, garściami wyrzucać pieniądze, aż cię zmuszę do wyznania mi prawdy“.

A wśród tego pani Lutyńska mówiła mi o nowych stylach dzisiejszych mebli i sreber, a zwłaszcza sreber, które są wprost cudne, widziała w Monachium zeszłego lata... itd., itd.

„Tak, jeśli mnie traktujesz tylko jako kochankę, a odmawiasz mi szacunku i zaufania, do którego mam prawo — bo mam! mam! to ja

wedle tego mogę postępować, a zatem, mieć kaprysy, wymagania, wyzyskiwać twe chwile słabości, czyhać na twój dobry humor i wdzięczeniem się i zalotnością i sprycikiem kobiecym szerzyć wpływ i brać cię pod pantofel. Tak traktowana, mam prawo się bronić tą marną nikczemną kobiecą bronią, którą dotąd pogardzałam“.

A tu kładł mi w uszy Jelicki poglądy swe na doktryny Tołstoja, porównania jego z naszymi powieściopisarzami i nadzieje odrodzenia ludzkości przez jego naukę. A Znajecka trzepała komentarze do Kreutzerowskiej Sonaty i na temat zazdrości mężowskiej paplała i paplała.

„Tak, wziąłeś mnie kochającą, gotową na wszystko dla ciebie, niosącą ci z rozkoszą dar całej siebie: dar duszy czystej i wzniosłej. Odepchnąłeś ten dar — odsunąłeś na bok mą duszę — a tylko ciała mego pragnąć nie przestajesz. Zbrudziłeś mię taką miłością! Ach, ztrząsnąć z siebie ten brud, zmyć tę plamę! Być znowu czystą i nietkniętą! I uciekać — uciekać gdzieś daleko!

„Jaką pani ma dzisiaj dramatyczną twarz! — rzekł malarz Ekiert, siadając przy mnie. — „Obserwuję panią od dobrej chwili — dziś pani zupełnie ma inną twarz, niż gdyśmy się spotkali przed kilku dniami“. Odpowiedziałam mu byle co, śmiejąc się. Ale on mówił dalej: — „Dziwna rzecz! i śmiech pani nie jest ten sam — jakiś ostry, ironiczny. Ależ pani musi mieć coś na duszy...“

Musiało mi jednak być ładnie z tą dramatyczną twarzą, bo, gdy wszyscy się rozeszli, Karol wziął mnie w objęcia i zaczął się przymilać — tak, jak to oni zawsze — i mówił: „Moja śliczna — moja miła“. I tak jakoś patrzał — tak biednie, tak pokornie... że mnie się go żal zrobiło. Ale nie mogłam! Ach! nie mogłam.

Nocy tej ani na chwilę nie usnęłam. Ach, to była okropna noc!

Długo leżałam nieruchoma, aby doczekać się aż on zaśnie, a on też do późna przewracał się z boku na bok, gniótł poduszki i wzdychał, wzdychał. A gdy wreszcie usłyszałam jego spokojny oddech, wybuchnęłam płaczem. Ach, takim bolesnym, głębokim płaczem, od dawna zbierającym w mojem sercu! Wszystkie moje zawody, wszystkie rany, wszystkie zadraśnięcia i upokorzenia wypłakałam tej nocy. Ale też były to moje łzy ostatnie.

Przemogłam siebie jednak raz jeszcze i pomimo żalu do Karola — żalu zupełnie słusznego — powiedziałam sobie, że żadnych skrajnych środków się nie chwycę. Owszem, raz jeszcze spróbowałam sposobów dobrych. A więc postanowiłam, nic nie mówiąc, nie pytając, nie wywołując zeznań, zrobić to co do mnie należało.

Interesy były złe — moim obowiązkiem było dopomagać w miarę mej możności do ich naprawy. Zamknęłam się przed ludźmi, oszczędzać się zaczęłam tak, że przez całe dwa lata nie sprawiłam sobie ani jednej sukni, ani jednego kapelusza — wydatki domowe zmniejszyłam prawie o połowę, nie wyjechałam ani razu, nie byłam ani na jednym balu, lecz zaledwie na paru herbatkach.

Julka mi dostarczała powieści angielskich do tłumaczenia, i w samotności mojej dnie i wieczory spędzałam nad tą najnudniejszą ze wszystkich prac, za którą zarabiałam zaledwie kilkadziesiąt rubli rocznie.. Zaczęto śmiać się i żartować z mego pustelnictwa. Znajecka wpadała czasem z wymówkami! Jeden tylko Rucz zrozumiał mnie i, poczciwy, starał się pocieszać mię niekiedy!

A Karol? Przyznaję, iż na dnie serca miałam nadzieję, iż to postępowanie moje go wzruszy i wywoła choć odrobinę wdzięczności. Bo przecież robiłam to dla niego! Tymczasem, może on tam coś i odczuł, ale nigdy mi tego niczem nie okazał. Z początku namawiał mię do bywania, do wyjazdów itd., jak gdyby nic. Wobec mojej każdorazowej odmowy, dziwił się trochę, ale był w gruncie rad, bo ujmowało to kosztu.

Wreszcie i namawiać przestał. I zostało to przyjęte, że ja niczego chcieć dla siebie nie powinnam. To nadzwyczaj dogodny dla męża obyczaj — czemuż z niego nie korzystać? Ustalił się więc u nas łatwo. I chociaż ciężkie czasy już minęły, i interesy poprawiły się ostatniemi laty, obyczaj ten pozostał w całej sile.

Po części sama temu winnam. Gdybym chciała, mogłabym praw swoich dochodzić na nowo. Mogłabym mieć wymagania — i przypuszczam, że Karol zadowolniłby je, z przyjemnością nawet. Ale na to trzebaby wyjść z tej apatji, która mię ogarnęła. A na wszelki wysiłek zanadto jestem zmęczona. Wprost niechce mi się — niczego mi się już nie chce.

Zrobiłam się tem, czem mię mieć chciano: rzeczą, sprzętem ozdobnym w mieszkaniu męża. Jestem cicha, uśmiechnięta, łagodna, bezmyślna —

ale praktyczna, i dbała o dobrobyt. Tak, jestem ideałem żony i Karol wydaje się zadowolony.

A ja?

Mój Boże! mój Boże! Jeśli Ty widzisz serca ludzkie — to wiesz, że smutniejszego nad moje niema na całym szerokim świecie.

20. Lipca. „Smutna jest dusza moja aż do śmierci“. Tak, bo i śmierć nie może już być smutniejsza. A nawet, jest to już śmierć. Czy żyje człowiek, co się już niczego nie spodziewa, niczego nie pragnie i do niczego nie tęskni? Ja żyć przestałam, umierałam powoli, codzień po trochu; ogień, co we mnie niegdyś płonął tak silnie, gasnął — gasnął — i zgasnął zupełnie i popiołem się zasypał i już tam wewnątrz wszystko jest szare, zimne, obumarłe.

A szkoda! Bo zdaje mi się, że byłam niegdyś tem, co się nazywa „bogatą naturą“. Umiałam kochać, umiałam chcieć, umiałabym nawet pracować, gdyby mnie kto do tego zachęcił. Nie umiałam tylko na własną rękę działać i stworzyć sobie świata, odrębnego od tych, których kochałam. To znowu nazywa się „brakiem samodzielności“.

Tak, nie byłam samodzielna, potrzebowałam pomocy i kierunku i tych ciągle wyglądałam.

Czego zaś jestem pewna — to tego, że byłabym dobrą matką.

I nie miałam od życia nazbyt wielkich wymagań, i nie żądałam rzeczy zakazanych. Nie szukałam bogactw, ani zabaw, ani świetności, ani blasku, nie dążyłam do żadnych ambitnych celów. Chciałam być żoną kochaną i zrozumianą, prawdziwym przyjacielem, a nie lalką tylko — i chciałam być matką. To ostatnie nie było mi dane, ale o to do nikogo żalu mieć nie mogę.

Ale za to, że zamiast żony zrobiono ze mnie sprzęt domowy, że moje uczucia i moją duszę odsunięto na bok, jak zawadę, a żądano odemnie jedynie miłego uśmiechu i zupełnej bezmyślności, że moje marzenia, moje zamiary, moje najświętsze porywy, moje wypieszczone ideały zdeptano i podarto na strzępy — o, za to mam żal! krwawy, wściekły żal! I bodaj że to jedno, co we mnie żywem pozostało.

Szkoda mnie — szkoda!...

1. Sierpnia. Ta poleska natura mnie upaja. Wychodząc co rano do ogrodu, biorę ze sobą książkę, siadam na tym wysokim brzegu rzeki, zkąd taki przepyszny widok na łuhy i lasy, i siedzę, ani jednej kartki nie przewróciwszy, aż do obiadowego dzwonka.

Rzeka tak leniwie toczy mi się pod nogami, taka spokojna, senna. Niebo mleczno-białe leży mi nad głową, a po niem chodzą chmury ciche — łuhy ciągną się w słońcu bez granic, bez końca, i tylko gdzieniegdzie wielki dąb z nich wyrasta — jedyny, zdawałoby się, mieszkaniec i pan tej ziemi, potężniejszy stokroć od tego chłopa, co się w duszohubce u stóp jego przemyka. Niby to wszystko martwe, ale nie — to tylko tak na pozór.

Ta rzeka, te łuhy i to niebo — żyją, ale nie tem gorączkowem, cywilizowanem życiem podmiejskich okolic, nie tem gwałtownem pchaniem się naprzód ku wyzyskom, ku rublom, ku prędkiemu używaniu, nie tą obrzydłą walką o byt, którą tam nawet polne kwiatki dyszą — nie rywalizacją, ani wyzyskiem, ani wypieraniem się wzajemnem. One żyją życiem własnem, wlanem w nie w wielkim dniu tworzenia — one są przedwieczne i dotąd niezmienne.

Ach, jak niezmiernie kojącem jest to przeświadczenie, że pod tem niebem, nad tą rzeką, stulecia się przewaliły, mijały dzieje i wypadki — ludzie ze swemi smutkami i ze swemi radościami marli i rozsypywali się w proch, pokolenia po pokoleniach następowały, a one zawsze były te same i takie same. Wobec tego mniejszemi wydają mi się moje bole.

Może tu przedemną, na tem samem miejscu, setki kobiet przychodziło opłakiwać swą zdeptaną miłość. Może setki innych, w zapale pierwszych uczuć, zwierzały się tu niebu... może smętniejsza nuta w głosie wiatru, gdy przeciąga po łuhach — chyba może ta mleczno-biała, jakby załzawiona, barwna, rozlana w powietrzu — chyba ten opalowy blask na błądzących chmurach...

Więc może i mój ból wsiąknie tu w wiatr i w obłoki, i, gdy już mnie nie będzie, on zabłyśnie jeszcze niekiedy opalem na niebie, zajęczy wiatrem nad rzeką i łzą się rozleje nad łuhami...

3. Sierpnia. Biedna ciocia! po śmierci męża ogromnie cierpi. Krząta się przez dzień cały, o wszystkiem myśli po dawnemu, wszystkiem się zajmuje. Ale gdy ma chwilę wolną, to przysiądzie gdzie w kąciku i płacze. A potem mówi za niego pacierze. Szczęśliwa kobieta!

Po co ja właściwie siedzę? już trzeci miesiąc! Przyjechałam dla okazania cioci współczu-

cia po śmierci tyrana. Ale mogłabym już odjechać. Przecie mam swój dom, mam męża, który tam sam jeden pozostał. Powinnabym wracać. Ale tak mi się nie chce!

Zresztą, czekam wezwania. Żegnając się z Karolem — o, najczulej w świecie! — powiedziałam: „Gdy mię zapotrzebujesz, napisz — wrócę natychmiast". Nie wzywa, więc nie potrzebuje — rzecz jasna. Listy otrzymuję co tydzień najakuratniej, pisze o wszystkiem, co się tam dzieje, kończy serdecznem uściśnieniem — ale nie wyraża tęsknoty. Niech więc czeka jeszcze.

15. Sierpnia. Przed miesiącem napisałam tu, że we mnie wszystko zamarło, że żadnych silniejszych uczuć nie jestem w stanie doznać. A jednak — to nieprawda. Są chwile, coraz wprawdzie rzadsze, gdy coś we mnie jęczeć zaczyna, jakiś wicher się zrywa i zawodzi — zawodzi. I wyraźnie czuję, jak mnie coś od środka pcha naprzód ku szczęściu, ku jasności, ku miłości... Ramiona moje roztwierają się same przed jakąś wizją, co się ku mnie skłania, jakieś dziwne ciepło mię ogarnia!

Ja pragnę, ja tęsknię, ja usycham... Ja noszę w sercu olbrzymi skarb czułości, a niema kogo nią obdarzać. Taki skarb, a bezużytecznie się marnuje i nikt go nie chce i nikomu on niepotrzebny.

Marzę czasem. Ach, gdybym ja była innego żoną, nie tak rozumnego, nie tak społecznego, nie tak wielkiego człowieka, jak Karol, ale takiego prostego, zwyczajnego człowieka, może nawet nie bardzo mądrego, ale któryby mnie kochał i potrzebował. Takiego, coby czasem spytał: cóż ty robiłaś? o czem myślałaś? czy ci dobrze? czy nie pragniesz czego?

A przecież są tacy. Chociażby nawet taki Miłkowicz. Ile to razy sama widziałam go, gdy zabiegał do ogrodu, aby żonę i dzieci zobaczyć. I wówczas to spojrzenie, którem się oni witali! Boże, oddałabym dziesięć lat życia za jedno takie spojrzenie!

Ale Karol nigdy tak na mnie nie patrzał.

Łzy się leją i padają na ten papier. Tak dawno już nie płakałam! Ale to ta noc księżycowa tak mnie rozmarza. Do północy, chodziłam z Antosiem po ogrodzie. On mi się zwierzał ze swych miłosnych zapałów dla Madzi Wirskiej. Chciałby się żenić, ale jej rodzice chcą wiedzieć, co on ma — chcą, żeby wprzódy dział został zrobiony, a tu są różne jeszcze przeszkody itd., itd.

Słuchałam, a on mówił i mówił. Księżyc był jeden wielki, nieruchomy na niebie, a drugi drżący i połamany na falach rzeki. I drzewa stały jak zaczarowane, metaliczno-zielone na srebrzystej trawie i tylko czasem nietoperz przeleciał.

Ach, temu lat kilka, i ja tak marzyłam! I ja, chodząc po ogrodzie, zwierzałam się ze swej miłości księżycowi i gwiazdom. A teraz...

(C. d. n.)



21)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Oznaczały te śparogi, jak poprzednio wywiodłem, cześć dla księżyca i dla „pstrokatego“ konia. Księżyc i koń łączy się więc w krzywiznie „wietka i nowiu“, albo też głów końskich, ku sobie wyrżniętych i tworzy najbliższą człowiekowi parę poufałych bóstw, niejako zauszników niedostępnego Światowida (Wiz. 12, rys. 3, 4, 5, 6).—Litwa, Kurpie, Mazury, Krakowskie, Wielkopolska, Prusy wschodnie i zachodnie, Pomorze, Rugja, Połabja, pełne są tych końców, zresztą jako zdobienie pięknych i znamiennych. Mieszczą się one stale na najdostojniejszem miejscu budynku, na krańcach kalenicy. Że bezpośredniem miejscem, na którem się niegdyś śparogi mieściły, były, w poprzek namiotu biorąc, dwie przeciwległe sobie krokwie, świadczą



WIZERUNEK 12.

1, 2. Koń i słońce, rytmicznie powtarzające się w okół kotła, znalezionego na ziemiach słowiańskich — 5, 6. Zmarniałe śparogi (głowy końskie) z Prus wschodnich, obok wietek księżycowych (4), (Matlakowski. „Zdobnictwo“) i podkowa, wykuwana w kamieniach (Światowid I.) — 7, 8, 9 — „Końce“ z czerpaków, na Podhalu i śparog. 10. Głowica końska ze śparogów na Kurpiach; 11. tożsamo na Łużycach; 12. tożsamo z Prus wschodnich.

głowice końskie, zachowane na namiocie Wikingów, które podaję według rysunku p. Seesselberga, z dzieła: „Die altgermanische Kunst“. Do rycin niniejszych dodać należy licznie wyrzezane konie z Prus wschodnich. Również domy Kurów na Pobrzeżu kurońskiem, według Virchowa, są wyłącznie głowami końskiemi ozdobione. Lemke widziat w Płockiem „głowy końskie koło Mławy i Mławki, niezwykle pięknie rznięte“ (Zeit. f. Ethnol. XXI. ver. 113). Z przedmiotem zdobienia dzieje się to samo, co i z wyrazem. Powtarzając się nieskończenie, często traci swój, bezpośrednio z przyrody wzięty kształt, uogólnia się coraz bardziej i zaciera w kształcie swoje pochodzenie. Często dopiero, po zestawieniu wielu okazów, wziętych z rozmaitych okolic, tak, jak z nazw, zapożyczonych z rozmaitych narzeczy, można dopiero domacać się właściwego, przyrodniczego wątku. Nie dziw, że i „końce“ czerpaków góralskich, często z językiem u spodu, zatarły swoje „końskie pochodzenie“. Czerpak do mleka, niegdyś, na stepie, do „końskiego“ mleka, musiał mieć z natury rzeczy znamię konia na sobie. Jeśli zestawimy poniżej szereg wizerunków głowic do czerpaka i „śparogów“, to podobieństwo głowy końskiej wystrzeli nader dobitnie i potwierdzi w ten sposób domysł p. Mieczysława Limanowskiego co do pochodzenia kształtu owych rączek. Również rączki czerpaków ze źródeł Wisły, z gór Śląskich, zebrane przez p. Warchałowskiego, łacno przypomną „końce“ ze szczytów chat litewskich, z wyobrażeniem jelenia najprawdopodobniej (kto wie, może jeszcze i rena?) Koń wogóle w zdobnictwie wielką rolę odgrywał. Rewizja kościoła w Insterborku, z XVII stulecia, powiada, że „na grobach mężczyzn na Litwie stawiano deski, wyrżnięte w kształcie konia, na grobach kobiet w kształcie ptaka“ (Dr. Friedel. „Zeitschr. f. Ethnol.“ XX. 97). Matuszewski („Wisła“), zwiedzając niegdyś słowiańską Rugję, znalazł na wierzchu starej chaty, należącej do niejakich Klasów, łby końskie, a na progu podkowę. (Symbol wietka księżycowego jednocześnie, jak z porównania kształtów podkowy i sparogów wnosić należy). Jeśli zestawimy niniejsze wywody z tem, cośmy przy badaniach nad źródłem i powstaniem czci końskiej poprzednio powiedzieli, to zjawia się pewna strona gospodarczego, obrzędowego i artystycznego życia stepowca, w dokładności niewiele już do życzenia pozostawiająca. Zupełnie więc śmiało możemy z powyższych badań twierdzić, że przechowana przez pisarzy niemieckich nazwa szczecińska: „Kontyna“ (*continae*), jako miano świątyni „Trzyglawa“, jest prastarą nazwą Tyna — czci konia poświęconego i pośrednio dowodem, że koń niegdyś rzeczywistej czci zażywał. Nazwa, tak zupełnie równorzędnie

utworzona z mianem: „Świa-Tyn“, Świątynia“, królestwem boga światła, „Światem“, brzmi więc istotnie „Kon-Tyna“, „Tyn-Kona“, a górą, czci jego poświęconą, była góra Kona, „Arkona na Rugji“.

Słowem „koń“, dla wędrujących po lądzie Słowian, był tem, czem smok morski mityczny dla pływających po oceanie Normanów, a zapewne świnia dla tubylców, na palach mieszkających, z epoki przedwędrówkowej. Smok zdobił dzióby łodzi, przeszedł stamtąd na szczyty przyczółkowe starych, drewnianych kościołów norweskich, budowanych wedle składu masztowego, o szczegółach, z konstrukcji łodzi wziętych i szedł w ślad za podbojami Normanów. W Anglji, w Londynie naprzykład, kościół św. Piotra i Pawła przez Normanów postawiony, według świadectwa obrazu na starym dywanie z Bayeux, również wyobrażenie smoka miał u czoła. Widzimy z powyższych wyszczególnień dowodnie, jak ważnem, a niestety, tak bardzo zaniedbanem, jest dla dziejów sztuki badanie zdobnictwa i budownictwa ludowego, jakich ta nietknięta prawie kopalnia dostarcza skarbów źródłowych dla poznania dawnych dziejów narodowych, tam, gdzie wszelkie źródła starożytnicze, a tembardziej archiwalne już nie dopisują.

Pisaliśmy naprzykład, określając kulturę koczownika-stepowca, że sztuka plemion, stale nieosiadłych, opiera się na formach z tkactwa i plecionki zapożyczonych. Tam, gdzie przyroda jest jednostajna, gdzie zresztą ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce zaciera w pamięci i w wyobrażeniu szczególne kształty roślinne i zwierzęce, tam tylko te stworzenia odciskają się w sztuce, które towarzyszą wciąż człowiekowi, jak: koń, lub pies naprzykład. — Wizerunki konia i człowieka, a czasem psa, to są najpierwsze realistyczne „siużety“ rysunku polskiego. Lwia jednak część form zdobniczych musiała więc nosić na sobie dywanowy, plecionkowy, tkaninowy lub wyszywkowy charakter.

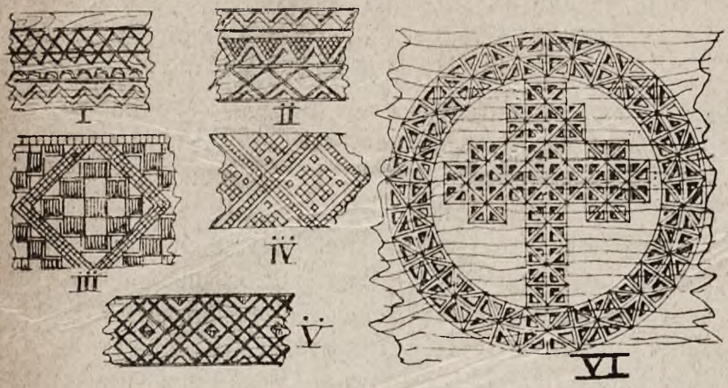
Nie dziw więc, że sztuka ludów wschodnich, których życie długie tysiące lat w namiotach zbiegło i po dziś dzień o stepowy charakter kultury się ociera, nosi na sobie wybitny charakter, w geometryczne figury stylizowanej tkaninowej plecionki. Budynki, w stylu maurytańskim wzniesione („Alhambra“ w Hiszpanji), wyglądają jak cudownie w kamieniu dziergane koronki, lub tkana w „mozajce“ głazów różnorodnych dywanowa zasłona. Najstarszy styl ludów germańskich i keltyckich, świeżo do cywilizacji rzymsko - chrześciańskiej przywiedzionych, słynny styl romański, a raczej keltycko-normański, jest pełen zdobnictwa geometrycznego plecionkowego.

Zupełnie zbędne są wobec tego ciemne przypuszczenia, czy plecionka irlandzka wpływała na plecionkę normańską, czy odwrotnie. — W illuminowanych kodeksach klasztorów, zaludnianych irlandzkimi mnichami, plecionka tak silnie przeważa w wyobraźni, że nawet postacie ludzkie, święci i sam Chrystus na krzyżu, mają naprzemian poplątane ręce i nogi i włosy na wzór plecionek skórzanych. Nie inaczej dzieje się ze staronorweskimi ornamentami na kościołach, w drzewie i kamieniu, tudzież na przedmiotach, z żelaza urobionych. Wiele z tego przeszło zaś do stylu romańskiego.

Ornamenty sznurowe i plecionkowe pokrywają portale, ściany, fryzy i okna zabytków romańskich, nawet poczynająca się u progu gotyku przewaga motywów roślinnych i zwierzęcych, ujmowaną jest wciąż w przewijanie się i plecionkę gałązek i „potworków“. — Sięgając w przeszłość przedhistoryczną Europy, zauważymy przewagę geometrycznych figur zupełnie wyraźną. Istnieje ona we wszystkich pierwotnych kulturach. Hirschfeld zna starogreckie urny z grobów attyckich, „gdzie ornamenty według wzorów tkackich są sporządzone“ („Zeit. f. Ethnol.“ Tom. 6, str. 13).

Urny, znajdowane na ziemiach słowiańskich, z okresu neolitycznego, noszą na sobie wybitne piętno obwiązywania nicią lub drutem. Virchow nazywa je stale „ornamentem falowym z grodziszcz słowiańskich“. Pan Friedel, znalazłszy w Köpenick urnę podobnego typu w przedhistorycznem mieszkaniu, „skonstatował ozdoby, w następujący sposób wykonane: Proste, 2 *mm* głębokie rysy, przez owiązanie widocznie utworzone“ („Zeit. f. Ethnol.“ Tom III, str. 246). Pan Hirschfeld stwierdza natomiast, że „w dziele Schliemanna znajduje się urna, która ornamentem swoim zbliża się do typu grodowego i palowego słowiańskiego“ („Zeit. f. Ethnol.“ VI, str. 14). Virchow powiada zaś o tych ozdobach „typu grodowego i palowego“, co następuje: „Gdzie były słowiańskie osiedlenia, tam znajdują się te ozdoby“. Powyższy ornament z szeregu włókien, falująco około urny owiniętych, trafia się jako motyw

zdobniczy po dzień dzisiejszy na chatach łużyckich, na co sam Virchow już uwagę zwrócił („Zeit. f. Ethnol.“ IX, str. 434). Ohnefalsch-Richter, podając rysunki waz starocypryjskich, które, nawiasem powiedziawszy, uderzająco przypominają zdobnictwo huculskie, powiada, że „powstały te



WIZERUNEK 13.

I., II. Ozdoby z drewnianych parzenic w Zakopanem (Matlakowski. „Zdobienie“). — III Wyszywka naramiennikowa z Huculszczyzny. — IV. Deseń paska tkaniny z grobu przedhistorycznego w Horodnicy (Światowid. I, str. 53 i 68). — V. Motyw zdobniczy na drzewie z Zakopanego (Matlakowski. „Zdobienie“). — VI. Ornament na odrzwiach wejścia do dzwonnicy w Jasionowie na Huculszczyznie (zdjęcie autora).

ornamenta w czasach, kiedy jeszcze nie było wpływów semickich na indo-aryjskie“ („Zeit. f. Ethnol.“ 1891, XXIII). Wystarczy również spojrzeć na znaleziska ze Starogrodu i Liptowa, na Pomorzu („Zeit. f. Ethnol.“ IX, 7), aby dostrzec ogromne podobieństwo ozdób na rogu i rękojeści noża z ornamentyką huculszczyzny i spinek z Ratułowa na Podhalu. Zupełnie więc zrozumiałym jest związek między ornamentyką romańską a zdobieniem ludu zakopiańskiego. Pan Dr. St. Eljasz Radzikowski, miłośnik sztuki polskiej ludowej, zauważył powyższe podobieństwo, mimowolnie w oczy się rzucające („Styl zakopiański“, str. 25). Jeśli styl polski zakopiański, mimo pozornego odosobnienia w wielu swoich objawach, będący stylem narodu o tysiącletniej kulturze, z licznymi śladami gotyku, renesansu i baroku, ma w sobie elementy geometryczno-tkackie, o ile więcej istnieć ich musi w stylu huculsko-ruskim, który, nie licząc lekkich śladów bizantynizmu, jest znacznie pierwotniejszym i przez warstwy sztuki europejskiej prawie nietkniętym. Dowodem jego starożytności jest wielkie ubóstwo motywów roślinnych i zwierzęcych i przewaga geometrycznych, z tkactwa i wyszywek wziętych wzorów. Tak zwane kłoski (motyw z trawy wzięty), gwiazda sześciopalczasta, w kole opisana (słońce i przekrój pnia jednocześnie), tudzież krzyż grecki — są to jedyne pierwiastki zdobnicze nowszego pochodzenia z czasów osiadłej gospodarki, które zanikają wobec powodzi „rzezek, krywulek, hołowkatek i ilczytego pyśma“, któremi są pokryte rzeźby drewniane, czyniąc je zupełnie podobnemi do wyszywek naramiennikowych na koszulach.

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Wrzos.* Powieść Marji Rodziewiczówny. Warszawa. Druk. Synów S. Niemiry 1903. Ze stanowiska artystycznego czyniono powieściom Rodziewiczówny wiele i ciężkich zarzutów, a przedewszystkiem ten jeden, że wszystkie jej powieści od „Strasznego dziadunia“ począwszy tak są do siebie podobne, jakby z jednego szablonu były wycięte. I stało się to, co w literaturze bardzo często się zdarza. Krytyka może mieć nawet najzupełniejszą rację, Rodziewiczówna mimo to jest dalej jedną z najpoczytniejszych autorek polskich, a każda jej nowa powieść, jest zawsze witana z radością przez szerszą czytającą publiczność. Tajemnica tego powodzenia które towarzyszy naszej autorce, zaraz od pierwszego występu na niwie literackiej jest prosta zupełnie i jasna. Człowiek dzisiejszy jest istotą w przeważnej swej części bezcharakterną, pod najrozmaitszymi wpływami uginającą się jak trzcina. Powieść modernistyczna, ten chwiejny, lub nawet chorobliwy stan psychologiczny, przecywilizowanych jednostek wyzyskuje w sposób mistrzowski. Jest tam prawda może i głębia ludzkiej duszy tajników, ale brak natomiast siły i potęgi charkteru, tej takiej spiżowej jednolitości, która tem bardziej będzie zawsze imponować i rozpalać, im odleglejszą będzie od nas epoka ludzi jakby z jednej bryły kamienia wykutych. Rodziewiczówna takie właśnie maluje charaktery, a właściwie jeden charakter w różnych przemianach. Jej mężczyźni silni są i aż dzicy w swojej potędze, stałości czy poświęceniu, tak samo też i kobiety. I dlatego powieść jej każda czytelnika rozpala i porywa, zapomnieć każe o drobniejszych usterkach, a całą siłą pociąga ku ideałowi.

który jest zawsze potężny i ponad szarą rzeczywistość wybiegający.

Wszystkie owe zalety posiada i najnowsza powieść „Wrzos“. Jest tam kobieta silna i twarda, jak kryształ, przerastająca wewnętrzną wartością i poświęceniem całe powszednie otoczenie, jest mężczyzna znarowiony, lepszego wart losu, niż sobie gotuje, jest cała galerja typów sympatycznych lub niesympatycznych. Akcja toczy się żywo i zajmująco tak że czytelnik z zapartym ją śledzi oddechem, aż do ostatniej stronicy książki i z westchnieniem odkłada ją na bok po przeczytaniu.

Takie westchnienie do ideału stanowi największą wartość powieści, czytanej przez szerokie grona publiczności. *Fr. Jaw.*

*

Ryszard Wagner i jego dramaty muzyczne. Z Catulle Mendesa streścił Antoni Lange. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie

Zaczyna się ta książeczka krótkim rysem biograficznym jednego z największych muzyków i poetów dziewiętnastego stulecia, człowieka, który wywoływał najsprzeczniejsze o sobie opinje od entuzjazmu aż do potępienia, aż zapanował powszechnie w umysłach tych wszystkich, którzy zajmują się sztuką. Catulle Mendes, którego śladem postępuje p. Lange, kreśląc sylwetę Wagnera, jest jego zagorzałym wielbicielem. Stąd wysoki ton entuzjazmu, panujący w całej książeczce. Ponieważ zaś Mendes bardziej odczuciem niż muzycznem znawstwem ujmuje swój przedmiot, więc książka nie tyle może informuje, ile poddaje wrażenia, jakie wywiera muzyka Wagnera. Kreśląc teorję Wagnera, porównuje on muzykę niemiecką z francuską i ze zaślubin pierwszej z poezją wyprowadza jako jej dziecko wagnerowski dramat muzyczny, w którym dźwięki i słowa są tylko współrzędnymi środkami do wydobycia jednolitej pełni życia. Po tem już aż do końca książki następują streszczenia i charakterystyki poszczególnych dzieł Wagnera. I tu znowu jak poprzednio panuje metoda suggestywna, zwłaszcza w określeniu muzycznej strony tych utworów. Mimo to jednak, ponieważ autor, idąc śladem myśli Wagnera, na równi uwzględnia i teksty i ich muzyczne obrobienie, więc nawet laik może z tych opisów lirycznych nabrać o utworach pewnego wyobrażenia, albo raczej doznać wrażenia, jakie one wywarły na Mendesie. *St. W.*

PISMA. *Wisła,* miesięcznik poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Tom XVI. zeszyt 4. sierpień—wrzesień.

Zeszyt ten rozpoczynają dwie nowości w naszem ludoznawstwie, rozprawy: J. Warchałowskiego „Wycinanki“ i Al. Janowskiego: „Nalepianki łowickie“. Omawiają bowiem one ozdoby papierowe, nalepiane przed lub po ścianach chat, dotąd pomijane milczeniem przez etnografów. Wzory tych wycinanek, dołączone do rozprawy p. Warchałowskiego, wykazują istotnie znaczne poczucie artystyczne naszego ludu. P. W. E. Badura pisze o „Żniwie w wioskach parafji Pobiedo i Krzęcin“, W pracy tej omawia autor dokładnie przyrządy, używane przy żniwie, sposoby żęc zboża, tryb życia ludu w czasie żniwa i nakoniec przytacza kilkanaście piosnek, spiewanych przy pracy. — Ciąg dalszy dawniej rozpoczętego zarysu etnograficznego p. t. „Wieś Studzianki“ przez p. Z. Staniszewską zajmuje się tylko dokończeniem opisu wesela, przyczem większą część stanowią pieśni weselne, oraz chrzcinami noworodka. — Koniec zajmującej pracy p. H. Łopacińskiego (pseudonim H. Paprzyca) p. t. „Poglądy religijne przodków naszych“, oparty na kronikach i dyplomatach z przed XVI. wieku, traktuje o konnych bogach pogańskich, djabłach, opętaniu ludzi przez moc czartowską i o czarownicach. Rzecz cała, nadzwyczaj sumiennie napisana, wykazuje często związek nierozerwalny między zabobonami średniowiecza a obecnymi u ludu naszego. — Z kolei następuje ciąg dalszy tłómaczenia francuskiej rozprawy A. Zaborowskiego p. t.: „Słowianie pod względem rasy i ich początek“ oraz inna praca antropologiczno-historyczna redaktora „Wisły“ p. E. Majewskiego p. n. „Z powodu rozpraw antropologów germańskich na temat dziejów przedhistorycznych słowiańsko-germańskich“, w której autor zajmuje się głównie odczytem dra Oskara Monteliusa, „O przybyciu Słowian do Niemiec północnych“. Całości zeszytu dopełniają „Poszukiwania“, skąpy bardzo dział recenzyjny i przegląd czasopism.

*

W *Poradniku językowym* toczy się polemika w sprawie szyku wyrazów w języku polskim, a mianowicie o to, czy należy kłaść zawsze po rzeczowniku, określające go bliżej przymiotniki, czy też wolno je również i przed rzeczownikiem stawiać. W praktyce, tam, gdzie do rzeczownika należy kilka przymiotników, zazwyczaj rozdzielamy je, kładąc po części przed rzeczownikiem, a po części po rzeczowniku. Według p. Wład. Strzembosza z Paryża czystość języka wymaga, aby mówiono i pisano „Towarzystwo naukowe krakowskie“, „Rada szkolna krajowa galicyjska“, „Słownictwo anatomiczne polskie najnowsze“, „Komitet centralny wyborczy galicyjski bezecny“ i t. d. Wątpimy, czy taki szyk wyrazów przyjmie się kiedykolwiek.

Z innych porad językowych zasługuje na wzmiankę, że „Poradnik“ każe pisać: „dezynfekcja“, zamiast „desinfekcja“, a zamiast słów „naganka“ lub „nagonka“, które wywodzi z języka rosyjskiego (!), zaleca wyrazy: „pościg“, „pogoń“, „polowanie“. „Poradnik“ nawet „botynki“, używane na Podolu zamiast słowa „buciki“, wywodzi z ruskiego języka, chociaż brzmienie wskazywałoby raczej pochodzenie francuskie *(bottine)*. Dla naszych prenumeratorów i czytelników ciekawem będzie, że według „Poradnika“, czysto po polsku należy mówić i pisać: „trzymam (lub prenumeruję) „Kurjera“, a nie: „Kurjer Lwowski“, jakkolwiek mówi się: „kupiłem „Poradnik“, „kwartalnik“ i t. d.

Zresztą w „Poradniku“ znaleźć można wiele innych, ciekawych uwag i wskazówek językowych.

SZTUKA. *Prace ś. p. Bronisławy Poświkowej.* Powszechne zastosowanie zasad estetycznych do wszystkich dziedzin życia, jakie dzięki inicjatywie fanatyka sztuki Ruskina zapanowało w Anglji już od lat kilkunastu a od kilku rozeszło się po całej Europie, przecisnęło się do

nas dopiero w ostatnich czasach. Jeszcze przed niewielu laty zaledwie sporadycznie tu i ówdzie dawały się zauważyć jednostki, które miały tendencję otaczania się nawet w życiu codziennem przedmiotami posiadającymi jakąś wyższą, niż tylko użytkową wartość. Poza tem panowała albo nieforemna zupełnie taudeta albo bezduszne kompilacje klasyku, renesansu, baroku, gotyku itd. itd.

Jedną z tych jednostek, które pierwsze zabrały się na gruntowniejszych podstawach i na szerszą skalę do czynnej reformy w tym kierunku, była zmarła niedawno we Lwowie ś. p. Bronisława Poświkowa, która przez długi czas prowadziła w Warszawie jedyną szkołę malarstwa dla kobiet, aby w ten sposób nad wyrobieniem zastępu pracowniczek, któreby w szare życie codzienne wnosiły uszlachetniający i cieplejszy ton pragnień estetycznych. Obecnie mamy w naszym salonie sztuki kilkadziesiąt prac ś. p. Poświkowej, które są dowodem, że to co powiedziano powyżej o gruntowniejszych podstawach jej usiłowań, nie jest czczym frazesem.

Dzięki łaskawości córki ś. p. Poświkowej, znanej tutejszej artystki dramatycznej pani Ireny Solskiej, można z nagromadzonego materjału prac rozpoznać całą drogę, jaką odbywał każdy szczegół od pierwszej chwili, zanim stał się ozdobą tego lub owego sprzętu. Fundamentem zawsze była dla ś. p. Poświkowej natura, czego dowodzą rozliczne studja owoców, kwiatów, liści, ptaków i t. d. W każdem z tych studji przebija się wyraźna tendencja uchwycenia najbardziej charakterystycznej strony tego czy owego przedmiotu w naturze, tak żeby zeń można wywnioskować do czego by się on, jako ozdoba, najbardziej nadawał.

Obok tego wiszą kartony na których obserwować można dalsze fazy opracowania tych przejętych od natury motywów, gdzie zaznacza się już ich stylizowanie wedle tego jaki będzie materjał i forma przedmiotu, do którego ozdoby mają być zastosowane. A więc jest np. gałęź klonu lub kasztana, namalowana o ile możności wiernie, z uwzględnieniem naturalnych warunków chwilowego oświetlenia itd. Na następnym kartonie widzimy to już w pewnem przystosowaniu. Niektóre szczegóły, które w pewnym materjale musiałyby zaniknąć, są tu już wypuszczone. Wreszcie z gałęzi klonu robi się coś jakby jednobarwna winieta dla wytkania jej w białym obrusie, a gałęź kasztana zmienia się między dwoma lampasami na wzór malowidła na storze. Gdzieindziej znowu powtórzonych systematycznie kilka motywów roślinnych, kilka listków i żyłek georginji lub koniczyny, tworzy deseń ręcznika lub tapetu.

Gdzie można zachować intenzywność barw i dokładność rysunku np. w malowidłach na porcelanie tam wzory żyją prawie tem samem życiem co w pierwszych szkicach z natury. Przekonać się można o tem na talerzach i półmiskach rozwieszonych w ostatnim pokoju, lub na serwisach poustawianych na zgrabnych mebelkach. Te mebelki znowu mają ozdoby traktowane tak, żeby w drzewie można je było wykonać, tj. albo namalować, albo sposobem mozaikowym powkładać w tło.

Znowu inaczej przedstawiają się wzory przeznaczone do wyszywek i haftów na makaty i ekrany, gdzie ma się do czynienia z materjałem miękkim i puszystym. Nic się tu nie powtarza, nie przypomina czegoś już widzianego, wszystko jest oryginalne, jak oryginalną w każdym szczególe jest natura, która była wyłącznem źródłem pomysłów zdobniczych.

O ile więc nagromadzone prace traktowane ze stanowiska wyższych wymogów sztuki mogłyby wiele pozostawić do życzenia, oglądane jako wysiłki zdobnicze, dają wyobrażenie zarówno o sumienności jak i o talencie, oraz dobrym smaku autorki. Jak to przebija także z wystawionego portretu śp. Poświkowej, była to natura bystra, energiczna i subtelna zarazem. *St. W.*

NOTATKI. *Także „Salon“*. Pan Latour zapragnął także przyczynić się do ożywienia ruchu artystycznego we Lwowie. Pan Latour założył „salon sztuki“ przy ulicy Trzeciego Maja. Na początek sprowadził i wystawił „Ojcze nasz“ Krzesza. Mniejsza o to, to było na początek. Czekaliśmy więc w spokoju na ciąg dalszy. Ale o to dziś wychodzę prosto z „salonu“ p. Latoura — i prócz dobrego Kossaka ojca i kilku drobiazgów starego Tepy, mających już dziś tylko znaczenie historyczne, oraz prócz kilku dawniejszych sztychów, zresztą przeważnie powszechnie znanych, znalazłem tam zaledwie kilka, mówię wyraźnie: k i l k a rzeczy możliwych na kilkadziesiąt wystawionych. Autorów nie wymieniam ze względu na tych, których wymienić nie mógłbym. Wystawianie tego rodzaju „arcydzieł“ jak „Po balu“ lub „Modlitwa dziecinki“ pni czy pny Zofii Gołąb (proszę pójść i zobaczyć!) oraz całych tuzinów podobnych płócien pod etykietą „sztuki“ — jest karygodną demoralizacją artystyczną lwowskiej publiczności. Niech p. Latour sprowadza choćby tylko same dobre reprodukcje rzeczy dobrych a u nas dotąd nieznanych — otwiera się dla rozsądnej akcji w tym kierunku pole ogromne — a z pewnością wszyscy prawdziwi miłośnicy sztuki poprą jego usiłowania. Zachować się jednak muszą z bezwzględną surowością wobec jego działalności dotychczasowej, ze sztuką tak dobrze, jak nic wspólnego nie mającej.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8